

Paweł Majewski: Co zostaje z encyklopedii?

Każda encyklopedia obarczona jest pewną fundamentalną niedoskonałością. Nie ogarnia wszystkiego. Daje nam złudzenie kompletności, ale dziś już mało kto daje się zwieść tej ułudzie. Encyklopedia była zawsze jedną z rękoi spójności świata dla umysłów jego mieszkańców. Jak ma więc przetrwać w świecie, który się rozpada? – pisze Paweł Majewski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Izydor z Sewilli. Res publica christiana”.

Twórczość Izydora z Sewilli, a zwłaszcza *Etymologie*, których pełny polski przekład właśnie otrzymujemy (tom pierwszy ukazał się w zeszłym roku, drugi zapowiadany jest na ten rok), to jeden z najważniejszych łączników między światem antyku śródziemnomorskiego a światem europejskiego średniowiecza. Jest to łącznik tekstowy, czyli taki, który przekazując zasób słów i znaczeń, jednocześnie dostarcza dla nich pewnej określonej przez autora interpretacji. Chyląca się ku upadkowi antyczna kultura intelektualna podążała kilkoma drogami. Jedną z nich poszli neoplatonicy, poddający dziedzictwo filozofii klasycznej silnym przemianom w duchu mistycyzmu, magii i synkretyzmu religijnego. Można wątpić, czy Platon łatwo zobaczyłby własne myśli w komentarzach, które napisał Proklos do jego dialogów w osiem stuleci po jego śmierci. Autorzy antyczni zapewne nie bez trudu rozpoznaliby ślady swojej twórczości również w *Etymologiach*, mimo że Izydor, próbując ocalić dziedzictwo przeszłych epok, podążył w zupełnie innym kierunku niż mistycyzujący filozofowie późnego pogaństwa. Starał się on rozumieć słowa, pojęcia i

terminy sprzed wieków jak najdokładniej i jak najbardziej zgodnie z ich pierwotnymi znaczeniami – oczywiście na tyle, na ile pozwalała mu jego religia. Nie mając jednak – podobnie jak i Proklos – dostępu do ich pierwotnych kontekstów, dochodził do ich zrozumienia za pomocą rozbudowanej procedury etymologizowania. Dzięki tej metodzie, zamiast rozmytego pojęciowo mistycyzmu w jego dziele znajduje się zbiór starannie uporządkowanych informacji, chociaż ich porządek słabo rezonuje z umysłowością ludzi z późniejszych epok.

Idea stworzenia encyklopedii, której Izydorowe *Etymologie* są wczesną realizacją, należy do najbardziej ambitnych i rozległych przedsięwzięć w dziejach cywilizacji zachodniej. „Encyklopedia” miała być kompletnym obrazem świata w słowach, zamkniętym w ramach jednej książki lub zestawu książek, tak aby dawać swoim czytelnikom poczucie, że mając ją w zasięgu, mogą czuć się zabezpieczeni przed chaotycznością tego świata. Co więcej, mogą też, wertując ją, poczuć się w pewien sposób obserwatorami całego świata – nie tylko przez odczytywanie haseł, ale też przez oglądanie ilustracji, tabel poglądowych, rycin, schematów i spisów, które w każdej nowoczesnej encyklopedii zajmują sporą część jej objętości, wzmacniając wrażenie, że wszechogarniająca wizja powszechnej wiedzy zostaje oto urzeczywistniona na naszych oczach.

Przeczytaj również: Koncepcja prawa w pismach Izydora z Sewilli

W historii encyklopedii dają się wyodrębnić przynajmniej dwa główne etapy. Do końca epok przednowożytnych była ona konstruowana według rozmaitych klasyfikacji i kategorii pojęciowych, których wadą było zawsze to, że nie były kompletne. Żadna z nich nie ogarniała całości zjawisk i rzeczy. W żadnej nie można było uniknąć powtórzeń,

sprzeczności i niekonsekwencji. Dla dawnych encyklopedystów był to problem niemożliwy do usunięcia, a w XVII wieku, ostatnim, w którym podejmowano takie projekty, nastąpił wysyp koncepcji mających rozwiązać ten problem. Głównym rezultatem okazało się jednak uświadomienie sobie przez ówczesnych myślicieli, że porządek słów nie jest zbieżny z porządkiem rzeczy, przynajmniej jeśli oba rozpatruje się z ludzkiego punktu widzenia.

Między innymi to fiasko encyklopedii-katalogu sprawiło, że wszystkie nowoczesne encyklopedie, począwszy od tej, którą stworzyli francuscy oświeceniowcy, mają układ alfabetyczny. Zamiast obmyślać wciąż na nowo klasyfikacje dziedzin wiedzy, z których każda okazywała się niedostateczna, zdano się na porządek znacznie bardziej fundamentalny, a zarazem na pewno, bo z konieczności, kompletny – porządek liter alfabetu, którego nie da się zmienić, bo nie zależy on od czyjegokolwiek osobistego punktu widzenia i jest zawsze taki sam. Najbardziej oczywista cecha nowoczesnej encyklopedii – jej układ „od A do Z” – jest niczym innym jak jedynym możliwym rozwiązaniem kwestii porządku świata oglądanego i pojmowanego przez ludzki umysł.

Ale czy na pewno rozwiązaniem? Każdy, kto choć raz, choćby dla żartu, zaczął czytać hasła w encyklopedii jedno po drugim, odczuł chyba, że ich kolejność jest zupełnie przypadkowa. Co mają do siebie „kamaryla”, „Kamasutra” i „kamasz”? Otóż nic. Jedynym, co łączy te pojęcia, jest fakt, że w języku polskim ich nazwy zaczynają się tym samym szeregiem liter. Ceną za odejście od utopii uniwersalnej klasyfikacji jest więc zgoda na całkowitą dowolność zestawiania atomów znaczenia, z

których składa się encyklopedia – jako że w pismach alfabetycznych litery nie mają żadnego związku ze znaczeniami tworzonych z nich słów.

**Zostań mecenasem „Teologii Politycznej Co Tydzień”, jedyne-
tygodnika filozoficznego w Polsce. Dziękujemy za wsparcie!**

W tym chaotycznym porządku tkwi jednak praktyczna użyteczność encyklopedii (jeśli tylko wiadomo, jakiego słowa się w niej szuka, jego znalezienie jest dziecinnie proste), a także jej specyficzny czar, jeśli pozwolimy sobie zapuścić się w jej odmęty. Aby osiągnąć ten efekt, encyklopedyści przeszli do porządku dziennego nad utratą „wielkiego planu”, na którym opierali się ich poprzednicy (wśród nich Izydor) i przyjęli bez oporów nie tylko to, że na początku świata zencyklopedyzowanego znajduje się litera „a” (co można jeszcze od biedy skojarzyć z mistyką kabalistyczną), ale i to, że zaraz po niej figuruje na przykład mrównik (po angielsku „aardvark”). W XIX i XX wieku encyklopedia święciła triumfy. Była zarówno pomnikiem wiedzy ludzkiej i cywilizacji przemysłowej, jak i narzędziem budowania statusu dla przedstawicieli klas umysłowych w nowoczesnych społeczeństwach. „Britannica”, „Larousse” czy „Brockhaus” stały się hasłami rozpoznawalnymi tak, jak dziś „Facebook” czy „Instagram”.

Ale wszystko, co ma początek, musi mieć kres. Kiedy w drugiej połowie ubiegłego wieku zaczęły się chwiać fundamenty, na których zbudowano potęgę nowoczesnej cywilizacji zachodniej, zauważono, że encyklopedia jest niedemokratyczna i wykluczająca, że jej uniwersalność to pozór, że siatki jej haseł konstruowane są przez elitarne gremia intelektualne, które faworyzują określone pola dziedzinowe i tematyczne, a inne marginalizują lub pomijają, że – krótko mówiąc – jest to jedno z narzędzi powielania i utrwalania

hegemonii kulturowej elit. W istocie, idea encyklopedii tworzonej oddolnie wydaje się wewnątrznie sprzeczna – aby zbudować bardzo duży gmach ze słów, potrzebna jest jakaś centrala koncepcyjna i kierująca.

Przeczytaj również: Izydor z Sewilli – Ewangelia jest wykładem logiki

A jednak taka oddolna encyklopedia powstała. Kiedy wybuchła rewolucja mediów cyfrowych, jednym z pierwszych szeroko zakrojonych projektów, które zaczęto realizować w internecie, była Wikipedia, „wolna encyklopedia”, jak brzmi jej oficjalna nazwa. Z początku wyśmiewana i lekceważona, od początku narażona na wiele ryzyk nieznanych jej papierowym starszym siostrom – od prostych błędów faktograficznych i językowych po rozległe manipulacje ideologiczne i lobbing grup interesu – weszła na stałe do zasobu narzędzi codziennej pracy chyba każdego, kto zajmuje się działalnością intelektualną. Czasy, kiedy w celu sprawdzenia najdrobniejszego fakciku, jeżeli nie miało się odpowiedniego *reference work* pod ręką, trzeba było wybrać się do biblioteki publicznej, to już zamierchła przeszłość. Zaś wielotomowe encyklopedie, które jeszcze na początku naszego wieku, były ozdobą inteligentkich księgozbiorów, walają się na wyprzedazach u bukinistów. Smutny to koniec pięknej idei.

Ale każda encyklopedia – od *Etymologii* Izydora (i ich poprzedniczki, *Historii naturalnej* Pliniusza) przez dziewiętnastowieczne Laroussy i Brockhausy aż po dzisiejszą Wikipedię z jej wadami i zaletami – obarczona jest pewną fundamentalną niedoskonałością. Nie ogarnia wszystkiego. Daje nam złudzenie kompletności, ale dziś już mało kto

daje się zwieść tej ułudzie. Encyklopedia była zawsze jedną z rękoi spójności świata dla umysłów jego mieszkańców. Jak ma więc przetrwać w świecie, który się rozpada?

prof. Paweł Majewski

fot. Diliff / WikiCommons (lic.)

**Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień”
[522]: „Res publica christiana”**